

*Mojej mamie – pierwszej czytelniczce,
największej fance i wieloletniej mentorce.
Uwierzyła we mnie, więc i ja uwierzyłam w siebie.*

CZĘŚĆ
PIERWSZA

MARTA

Jedyną rzeczą ciemniejszą od czarnej kawy Marty były ubrania chłopaka stojącego przy ladzie. Nonszalancko opierał się o blat i z szelmowskim uśmiechem rozmawiał z kasjerką. Ta wyglądała na zupełnie nieporuszoną jego próbami oczarowania jej. Marta mogłaby przysiąc, że w pewnym momencie dziewczyna przewróciła oczami. Ktoś pewnie powiedziałby, że obsługa nie powinna tego robić. Marta by się z tym nie zgodziła. Skoro ten lowelas myślał, że ma prawo do bajerowania dziewczyny, gdy ta jest w pracy, ona mogła okazać niezadowolenie.

– Proszę bardzo – powiedział kelner, stawiając przed Martą ciastko owsiane. – Smacznego.

Marta nawet nie podziękowała. Od razu zmarszczyła brwi i odłożyła czytaną książkę na kolana. Przysunęła talerzyk z ciastkiem do spodka filiżanki. Były różnej wielkości, co trochę ją zirytowało. Przy najmniej pochodziły z tego samego zestawu. W kawiarni, w której siedziała ostatnio, każde naczynie było z innej zastawy.

Tym razem miała więcej szczęścia. Odstawiła pustą filiżankę na spodek, a ten położyła na talerzyku z okruchami po ciastku owsianym. Odsunęła wszystko od siebie, a książkę zamknęła i schowała do plecaka, z którego następnie wyciągnęła notebooka. Otworzyła pusty dokument w Wordzie, nasunęła okulary wyżej na nos i przez następne kilka minut wpatrywała się w pustą stronę.

Zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę tak bardzo zależało jej na członkostwie w tym klubie. Ale wtedy przypomniła sobie słowa Adeline, która nie mogła się doczekać uczestnictwa w klubach i kołach studenckich, gdy tylko zaczęła naukę na UCL, czyli University College London. Twierdziła, że to właśnie tam poznaje się przyjaciół na całe lata i tworzy wspomnienia na całe życie. Niestety, nigdy nie będzie miała okazji przekonać się, czy miała rację. Dlatego Marta zamierzała zrobić to za nie obie.

Zacisnęła zęby. Nie tak miało być. Marta i Adeline miały teraz siedzieć razem w jednej z londyńskich kawiarni i plotkować o tym, jakie zajęcia czekają je już niedługo, przeglądać oferty fakultetów oraz skakać z radości na myśl, że w końcu po wielu latach spełnią swoje marzenie: zaczną studia na jednej z lepszych angielskich uczelni z najlepszą przyjaciółką u boku.

Tymczasem Marta siedziała w Ulmariowie, polskim miasteczku akademickim o wątpliwej reputacji, której nawet wieloletnie próby uratowania wizerunku nie były w stanie wymazać. Nie знаła nikogo ani niczego, a żeby to zmienić, próbowała wystukać kilkustronicowy esej na temat swojej ulubionej powieści z wątkiem kryminalnym. Przeczytała ich dziesiątki, jeśli nie setki, co, jak mogłoby się wydawać, powinno ułatwić zadanie. Było wręcz przeciwnie.

No i była sama jak palec. A Adeline leżała kilka metrów pod ziemią kilka tysięcy kilometrów stąd.

Powinna była się zająć pisanie esaju rekrutacyjnego już kilka tygodni temu. Jednak wołała pożerać kolejne kryminały, bo a nuż trafi na coś, co zwali ją z nóg, i dzięki temu napisze esej, który zwali z nóg klubowiczów.

Termin pierwszego etapu rekrutacji do klubu mijał jutro, a Marta nie napisała ani słowa. Koraliki szczęśliwej bransoletki zagrzechotały na jej nadgarstku. *Też mi szczęśliwa* – pomyślała i od razu pożałowała tej myśli. Bransoletka była jedyną rzeczą, jaka została jej po Adeline. Przyjaciółka sprezentowała ją Marcie na osiemnaste urodziny. Miała przynosić jej szczęście w dorosłym życiu.

Rozbolał ją brzuch.

Postawiła na *Tajemną historię* Donny Tartt. Marta nie była pewna, czy tym wyborem zabyłśnie, czy raczej wywoła na ustach klubowiczów prześmiewczy grymas. Tej powieści nawet nie można było nazwać kryminałem, ale nie mogła się już nad tym dłużej zastanawiać. Odniosła naczynia i zamówiła drugą czarną kawę. Kelner przyniósł ją do stolika, Marta przysunęła spodek tak, by znajdował się w równej linii z laptopem, i zabrała się do pisania.

Ostatnią kropkę postawiła dwie godziny później. Następnie przeczytała pobieżnie wszystko, co napisała. Zmarszczyła brwi. Potrafiłaby to zrobić lepiej.

Ale już nie mogła, więc zamknęła klapę laptopa, świadoma, że jeśli spędzi na czytaniu esaju jeszcze sekundę, skasuje wszystko i będzie

musiała zacząć od nowa. Albo jeszcze gorzej – w ogóle niczego nie napisze i całe trzyletnie studia spędzi sama w czterech ścianach swojego akademika.

Odniosłszy filiżankę kelnerce, wyszła z kawiarni i ruszyła w stronę biblioteki, żeby czym prędzej wydrukować ten nieszczęsny esej, zamknąć w kopercie i wrzucić do klubowej skrzynki na listy.

Jednocześnie musiała nieco oczyścić umysł, bo ciągle wracała myślami do Adeline. Przed oczami migotała Marcie roześmiana twarz przyjaciółki, kiedy rzucała w nią chipsami. Butelka wina wciśnięta między jej uda. Torebka po przekąskach sunąca po desce rozdzielczej, gdy brały zakręt. *Gdybym nalegała mocniej, żeby posprzątała... Gdybym zareagowała wcześniej...* – myślała, po czym szczypała się w ramię.

Mogła dojść na uniwersytet dość szybko, skręcając w lewo na pierwszym skrzyżowaniu w labirynt budynków i alejek, ale zamiast tego przeszła przez ulicę i skierowała się do parku, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Nie był to oficjalnie park uniwersytecki, nie leżał na terenie kampusu, jednak Marta wyczytała w internecie, że nieoficjalnie należy do studentów. Odpoczywali na trawniku między zajęciami, w altanach spotykali się, by popracować nad projektami, a w piątkowe wieczory pili piwo na sztucznie stworzonej przez miasto plaży. Park Jesionowy nie przypominał w niczym londyńskich zielonych trawników, aż proszących się o rozłożenie koca i rozpalenie grilla. Część w pobliżu uniwersytetu i centrum miasta może rzeczywiście była dobrze zagospodarowana, ale park liczył wiele hektarów. Całe miasto wybudowano na terenach bagiennych, które zostały osuszone i przekształcone w miejsce do życia, park nie był wyjątkiem. Jednak im dalej od centrum, tym było gęściej i bardziej dziko. Jedna strona Ulmariowa graniczyła z innym miasteczkiem, ale druga przylula się do dzikiej natury. Granica między dziewiczą a zurbanizowaną częścią miasteczka nie była prosta i symetryczna. Te dwa światy spletały się ze sobą organicznie, płynnie przechodząc z jednego w drugi. Również w dzikszej części parku ścieżki były przygotowane dla spacerowiczów, jednak każdy raczej z nich zbaczał. No może oprócz rozszałałych z miłości i pożądania par, które w ciepłe wakacyjne wieczory skrywały się między drzewami. Marta już trafiła na jedną, gdy kilka dni temu wyszła na spacer. Może nie zobaczyła jej w całej okazałości (dzięki Bogu!), ale widziała leżące

w krzakach czarne spodnie i T-shirt, a na jednej z gałęzi wiszące czerwone damskie majtki.

Spora część parku wciąż leżała jednak na podmokłych terenach. W niektórych miejscach zbudowano kładki, po których można było przejść. Nie zapuszczały się tam nawet rozpalone pary. Nikt się tam nie zapuszczał. Mieszkańcy bali się odnaleźć stuletnie zwłoki.

Marta czytała w internecie, że po serii morderstw w latach 1919–1928 park został przeszukany wzdłuż i wszerz. Znaleziono kilka kolejnych kobiecych ciał. Niektóre z zaginionych kobiet wciąż pozostały jednak nieodnalezione. Wielu mieszkańców bało się, że nadal znajdują się gdzieś pod powierzchnią ziemi. Bagna rządziły się własnymi zasadami, żyły własnym życiem. Nie obchodziły ich ludzkie konwenanse. Jeśli chciały którejś duszy, po prostu wyciągały po nią swoje mokre łapska.

Przechadzając się po parku w nieco pochmurny wrześnieowy dzień, Marta się jednak nie bała. Adeline zawsze dziwiło, że ta nie obraca się przez ramię z powodu każdego szmeru. W końcu przeczytała tyle kryminalów, zapoznała się z tyloma okropnymi sposobami na morderstwo i tyloma profilami psychologicznymi zabójców! Marta wzruszała na jej zdziwienie ramionami. Jej samej wydawało się to dziwne. W końcu była kobietą, drobną kobietą. Nie znała sztuk walki, nie wiedziała, jak się bronić, nie nosiła przy sobie gazu pieprzowego. Mimo to wychodziła nocami na spacer w słuchawkach.

Możliwe, że była po prostu bezmyślna. Albo głupia. Nie wiedziała.

Lato powoli pakowało swoje rzeczy i przygotowywało się do odejścia, podczas gdy jesień już zapuszczała żurawia, czekając na znak, by móc się rozgościć i zająć jego miejsce. Coraz częściej przysłaniała błękitne niebo szarym prześcieradłem, malowała niektóre z zielonych liści złotymi barwami. Marta w kieszeni plecaka nosiła parasol, gotowa na niespodziewane opady. Gdy przyjechała do Ulmariowa w zeszłym tygodniu, zaufała pogodynce i wyszła na spacer bez niego. Do akademika wróciła z wodą ciekącą jej z włosów i w ubraniach, które musiała później wyżymać nad zlewem.

Gdy mijała pomnik Krzesimira Talagi, wymieniła swoje okulary korekcyjne na parę przeciwsłonecznych. Nie żeby świeciło słońce. Po prostu pomnik był jednym z ulubionych miejsc spotkań młodych ludzi. Przysiadali u jego podnóża, popijali kupione w budkach napoje i głośno rozmawiali. Marta chciała przyjrzeć się twarzom, ale obawiała

się, że wyjdzie na ciekawską, tym bardziej jeśli miałoby się później okazać, że niektórzy z siedzących na schodach również mieli studiować filologię polską albo, co chyba gorsze, być członkami klubu. Nie chciała źle się zaprezentować już na starcie.

Wiedziała, że po minięciu kamiennego Krzesimira od biblioteki Uniwersytetu Syreńskiego dzieli ją dosłownie kilkaset metrów. Na kampus szkoły weszła już właściwie po kilku krokach. Nie był szczególnie zapelniony studentami. Nie dziwiła się, w końcu semestr zaczynał się dopiero za miesiąc. Zapewne większość studentów jeździła jeszcze po świecie, odpoczywała w domach rodzinnych czy relaksowała się nad jakimś jeziorem. Marta też pewnie siedziałaby teraz w swoim rodzinnym domu w miasteczku pod Londynem. Albo może byłaby na kawie z Adeline? Oczywiście gdyby świat Marty nie wrócił się do góry nogami, a ona, nawiedzana wspomnieniami, nie poczułaby, że musi uciec z kraju.

Przyleciała do Polski w ostatnim tygodniu sierpnia, bo klub organizował nabór już na początku września. W zakładce na stronie internetowej szkoły Marta wyczytała, że na jedno miejsce przypadało aż kilkudziesięciu chętnych studentów, a w każdym roku klub przyjmował tylu nowych członków, ile było miejsc. W tym roku zwolniły się trzy. Z tego względu rekrutacja zaczynała się już ponad miesiąc przed rozpoczęciem zajęć, była trzyetapowa, a na czym polegał następny etap, kandydaci dowiadawali się dopiero po przejściu poprzedniego. Jedynie pierwszy był jawny, ale nie dało się przygotować do niego z wyprzedzeniem, na podstawie doświadczeń studentów z przeszłości. Zasady pierwszego etapu ujawniano dopiero miesiąc przed jego rozpoczęciem i nigdy nie były identyczne jak w poprzednich edycjach.

Napisanie eseju wydało jej się wyjątkowo przyziemnym zadaniem. Może źle rozumiała instrukcję? Wyciągnęła telefon i przejrzała ją jeszcze raz. Nie zauważyła niczego nowego. No chyba że... wszystko zależało od jej inwencji.

Uniosła głowę i spojrzała na stojący nieopodal budynek biblioteki. Ceglane ściany poszarzały nieco przez brak renowacji. Budynek był wysoki na dwa piętra, dookoła otoczony gęstymi drzewami, na których gałęziach siedziały dwa czarne kruki. Przednią ścianę prawie w całości porastał gęsty ciemnozielony bluszcz, który miejscami zmieniał już kolor na głęboką czerwień. W oknach migotało

ciepłe światło. Cały ten obraz dopełniały szare chmury kłębiące się nad starym budynkiem. Było w tym widoku coś zastanawiającego, tajemniczego...

Marta uśmiechnęła się pod nosem, jednocześnie czując delikatne ścisnięcie w żołądku. Wiedziała już, jak wyróżnić się z tłumu kandydatów.

ALEKS

Aleks Adara pociągnął dziewczynę za włosy. Jęknęła cicho, po czym chwyciła między zęby płatek jego ucha. Teraz to on westchnął, opierając głowę o zagłówek w samochodzie. Podciągnął jej ołówkową spódnicę, gdy ona całowała go po szyi. Nagle przestała. Aleks zmarszczył brwi.

– Nie – powiedziała z uśmiechem kryjącym się w kącikach ust. – Mówiłam ci, że zaczynam o ósmej.

– Jedno spóźnienie chyba nie przysporzy ci problemów, co? – zapytał, przesuwając dłońmi po jej rozgrzanych udach.

– Jedno nie, ale trzecie w tym tygodniu już tak – odparła, ujmując jego brodę między palec wskazujący a kciuk.

Aleks złapał ją za nadgarstek i uwolnił swoją twarz, żeby przyłożyć usta do jej ust. Dziewczyna odpowiedziała pocałunkiem, ale był on nieco mniej namiętny niż zazwyczaj. Kojarzył się raczej z czułym pożegnaniem, nie z zaproszeniem do kontynuacji. Zaraz po tym ześlizgnęła się z jego kolan i przesunęła na miejsce obok. Poprawiła spódnicę i zapięła guziki koszuli. Wygładziła włosy i przejrzała się w telefonie.

– Podwieźć cię gdzieś? Do domu lub do pracy? – zapytała, nie wiedząc, gdzie Aleks mieszka, i nie mając pojęcia, czy w ogóle ma jakąś pracę.

– Nie, dzięki. Przejdę się. – Przeczesał włosy palcami, po czym odchrząknął i otworzył drzwi. – No to do zobaczenia.

– Czekaj. – Zatrzymała go. – Może spotkalibyśmy się na lunch czy coś?

Zobaczył to w jej oczach. Przeklął w duchu. Spodziewał się tego, ale nie tak szybko. Seks był zajebisty, dziewczyna niczego sobie. Liczył jeszcze na kilka spotkań przed tym cholernym błyskiem w oczach.

– Aha – rzucił. – Cześć. – Już nie „do zobaczenia”.

Zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, nie czekając na odpowiedź. Wiedział, że na żaden lunch się z nią nie umówi.

Ruszył przed siebie, chcąc jak najszybciej zniknąć za rogiem. Obawiał się, że jeśli dziewczyna wysiadzie z auta, żeby przesiąść się na miejsce kierowcy, znowu otworzy buzię i zacznie namawiać go na spotkanie, które nie miało nic wspólnego z tym, czego od niej oczekiwał.

Zwolnił, dopiero gdy znalazł się przecznicę dalej. Poprawił kaptur bluzy, po czym wszedł do sklepu. Blond kasjerka powitała go szerokim uśmiechem, przystrzyżony na zapalkę kasjer tytnął na niego spode łba. Tego drugiego zignorował, tej pierwszej odpowiedział, puszczając oczko.

Wziął z regałów kilka zupek chińskich, dwa gotowe dania w słoikach, a z lodówki wyciągnął mleko. Położył to wszystko na ladzie przed kasjerką z maślanymi oczami, po czym znowu cofnął się do lodówek, z których wyjął kilka butelek specjału.

– Coś jeszcze? – zapytała blondynka.

Zapalka wyszedł na zaplecze.

– Czerwone winstony. Dwie paczki.

Zapakował wszystko do torby i zapłacił.

– Do zobaczenia! – rzuciła dziewczyna, gdy wychodził ze sklepu.

Z szarych chmur zaczęło delikatnie kropić. Aleks nałożył kaptur na głowę. Od akademika dzieliło go kilka minut spacerem, a zresztą nie był z cukru. Odrobinę deszczu mu nie zaszkodzi.

Po jego prawej stronie rozpościerał się duży na pięćdziesiąt hektarów zagospodarowany park, połączony z moczarami i lasem, których terenu już nie znał. Po lewej rząd ceglanych budynków rozdzielały co kilkanaście metrów wąskie uliczki.

Aleks wyciągnął z reklamówki nowo zakupione papierosy. Otworzył paczkę, wyciągnął jednego, po czym wsunął pudełko do kieszeni dzinsów. Zapalił pod daszkiem jakiejś kawiarni.

Już chwilę po tym minął pomnik Krzesimira Talagi, po którego twarzy spływały krople deszczu. *Wygląda, jakby płakał* – pomyślał i skrzył na kampus uniwersytecki. Odbił nieco w lewo, żeby dotrzeć na skróty do akademika. Jego współlokator jeszcze się nie wprowadził, więc mógł korzystać z pokoju tak, jak tylko chciał. A chciał zaparzyć kawę i doczytać *Śmierć na Nilu* Agathy Christie.

Na dziedzińcu między dwoma akademikami nie było nikogo. Gałęzie wysokiego na co najmniej dziesięć metrów dębu kołysały się na boki, szarpane ostrymi podmuchami wiatru. Kilka złotych liści wiorowało na wysokości pierwszego piętra. Od kiedy Aleks przyjechał do Ulmariowa, nie zdarzyło się, żeby między tymi dwoma budynkami nie huczał wiatr. Wiatr, który nocą brzmiał jak nawoływania zbłąkanych dusz.

Jednej nocy, gdy przemykający długimi, wąskimi korytarzami podmuch zbudził Aleksa ze snu, chłopak był pewien, że widział w oknie szczupłą kobiecą sylwetkę. Wtedy wydawało mu się, że może któraś ze wciąż nieodnalezionych kobiet przyszła, by z płaczem błagać go o pomoc. Gdy wystarczająco się rozbudził, pokręcił głową. Wyobrażnia płatała mu figle. Nic dziwnego – w takim mieście i po godzinach spędzonych na czytaniu książek o śmierci zwidy i paranoja były gwarantowane. Przewrócił się na drugi bok i usnął, ukołyszany do snu przez podmuchy, teraz kojarzące mu się z uspokajającym szeptem.

Huczący między budynkami wiatr w połączeniu z irytującą mżawką zaczął przyprawiać Aleksa o nerwy. Kaptur nie trzymał się na jego głowie, torba z zakupami bujała się w dłoni. Chłopak nawet nie próbował walczyć z naturą. Przeklął ją głośno, bo w końcu i tak nie miał kto go usłyszeć (nie żeby się przejmował), po czym wszedł do środka.

Budynek akademika pachniał starością. Inaczej nie potrafił tego określić. Niektórzy mogli marszczyć nos, gdy wciągali charakterystyczny zapach, ale Aleks go lubił. Przywodził mu na myśl kościół, do którego zabierała go za dziecka babcia. Tamten budynek również był ceglany i zawsze chłodniejszy niż wszystko wokół. Tak jakby tworzył swój własny mikroklimat niezależny od otoczenia.

Podobnie czuł się w akademiku oraz w reszcie budynków stojących na kampusie, które miał okazję odwiedzić. Uniwersytet Syreński chciał opowiedzieć jakąś historię, tego był pewien. Tylko jaką? Wszyscy mieszkańcy Ulmariowa znali historię miasta. A może nie w pełni? Może jakieś istotne szczegóły zatarły się z biegiem lat? Może niektóre świadomości zostały wymazane przez ludzi, którzy nie chcieli, by miasto znowu uznano za przekłete?

Aleks trochę żałował, że jedna historia wyparła inną. Mimo że minęło już prawie sto lat, o serii morderstw wciąż pamiętali wszyscy. Trudno było mówić o Ulmariowie i Uniwersytecie Syreńskim

bez wspomnienia o tych wydarzeniach. I o klubie oczywiście, ale to zupełnie inna sprawa.

I w sumie Adara nie był zdziwiony. Uniwersytet zaczął działać w XV wieku i był drugą najstarszą uczelnią w Polsce. Ówczesnie Ulmariów był jednym z najbardziej znanych ośrodków naukowych. Miasto jednak nie urosło do takich rozmiarów jak inne miasta uniwersyteckie. Prawdopodobnie dlatego, że nie każdy uczony widział w Ulmariowie potencjał. W mieście rezydowali głównie zielarze, medycy i alchemicy. Nic dziwnego – na terenie bagien oraz wokół niewielkiego Jeziora Manna można było znaleźć mnóstwo cennych roślin o wielu zastosowaniach. Nie najbardziej unikatową z nich, ale wciąż bardzo cenną była wiązówka błotna – *Filipendula ulmaria* – od której pochodziła nazwa miasta. Okoliczna flora przyciągała przyrodników, którzy opisywali przeróżne rośliny. Z czasem zaczęli docierać tu nawet poeci, malarze i muzycy, ponieważ dzika natura bagien okazała się dużą inspiracją. Potem miejską szkołę przyklasztorną, w której uczono głównie teologii, łaciny i filozofii, postanowiono przekształcić w uniwersytet, ośrodek kultury i nauki.

Przez pierwsze stulecie uczelnię nazywano po prostu Uniwersyte-tem Ulmarijskim. Później nadano mu nazwę w hołdzie dla Szymona Syreńskiego, jednego z najwybitniejszych polskich zielarzy, botaników i medyków, twórcy znanego do dziś *Zielnika*.

Imponująca historia i ogromne dziedzictwo. A wystarczył jeden człowiek, żeby cała ta ciężka praca została przysłonięta czarną chmurą.

Po drodze do pokoju Aleks wstąpił do kuchni dzielonej z całym piętrem. Do swojej szafki wrzucił zupki chińskie i dania w słoikach. Piwa postanowił schować do lodówki znajdującej się w jego pokoju. Dobrze, że chociaż na tyle prywatności mógł sobie pozwolić. Piwo było zdecydowanie za drogie, by mógł ryzykować, że ktoś mu je ukradnie.

U progu swoich drzwi zamarł. Coś leżało pod wycieraczką. Rozejrzał się po korytarzu, choć wiedział, że ktokolwiek podrzucił zawiąniętko, na pewno już zniknął z budynku. Na ziemi nie było żadnych mokrych śladów poza odciskami butów Aleksa, a na dworze padało już dobre piętnaście minut.

Chłopak przykucnął i podniósł wycieraczkę. Jego oczy spoczęły na beżowej kopercie z bordową pieczęcią ze znakiem zapytania. Zmarszczył brwi, chwycił ją w dłonie i obrócił. „Adresat: Aleksander Adara” – napisano z tyłu ciemnym tuszem. Brakowało nadawcy.

Aleks wyprostował się i trzymając kopertę delikatnie, jakby miała się rozpaść w jego dłoniach, wyciągnął klucze z kieszeni dzinsów. Gdy wszedł do pokoju, odłożył butelki z piwem na drewniane łóżko, które cicho skrzypnęło, i przysiadł na krześle. Otworzył kopertę. Była pusta.

Ponownie zmarszczył brwi, coraz bardziej przekonany, że to jakiś głupi żart. Nie mógł się jednak wyzbyć uczucia, że mało kto zrobiłby komuś takiego psikusa. Takiej pięknej koperty ani pieczęci nie dało się przecież kupić w pierwszym lepszym markecie. Poza tym nadawca znał jego nazwisko. Skąd? A może to któraś z dziewczyn próbowała się z nim skontaktować? Nie, to niemożliwe. Żadnej z nich nie powiedział, jak się nazywa. Żadna z nich również nie wiedziała, gdzie mieszkał.

Musiał coś przeoczyć. Zerwał pieczęć i odrzucił ją na bok. To było to. Koperta rozłożyła się, odkrywając zapisany w jej wnętrzu... ciąg liczb, znaków i liter.

16, 15, 8, 52-e, 19, 89-c, 28, 63-u 5, 92, 66, 10, 19 19, 71, 5, 92 K:HB
84, 28, 68-r, 105-b, 40-r, 53, 89-c, 71-u, 99-s, 19

Aleks z konsternacją wpatrywał się w przedziwną wiadomość. Jeszcze raz obejrzał kopertę ze wszystkich stron. Nie było na niej niczego poza jego imieniem i nazwiskiem oraz ciągiem liczb, znaków i liter.

Telefon Aleksa zaczął wibrować. Spojrzał na wyświetlacz. Dostał wiadomość od dziewczyny z samochodu. Otworzył ją, żeby nie wiślała na pasku powiadomień. Już miał zablokować telefon, gdy jego spojrzenie mimowolnie spoczęło na dzisiejszej dacie: dziesiąty wrzesnia. Minął dokładnie tydzień od zakończenia pierwszego etapu rekrutacji do klubu.

Jego esej był napisany szyfrem.

Uśmiechnął się szelmowsko. Nareszcie.

Zerwał się z krzesła i wyciągnął z szuflady kartę, z której korzystał, szyfrując esej. Zajęło mu to sporo czasu, mimo że nie wybrał czegoś szczególnie skomplikowanego. Musiał zdecydować się na szyfr, który zaintryguje klubowiczów, ale też taki, który nie przysporzy zbyt wielu problemów. W końcu mieli tylko tydzień na rozszyfrowanie tego, co napisał. Gdyby tego nie zrobili, jego aplikacja nawet nie zostałaby rozważona. A to byłaby strata.

Na biurku położył rozłożoną kopertę, a obok niej kartę, z którą pracował. Każdej literze był przypisany numer zgodnie z kolejnością

występowania w alfabecie. Literze A odpowiadał numer 1, Ą – numer 2 i tak do końca alfabetu. Jednak już bez zastanawiania się nad tym głębiej widział, że zapis jego eseju różnił się od otrzymanej wiadomości. Przede wszystkim Aleks nie stawiał tyłu przecinków, jedynie w miejscach, gdzie zgodnie z zasadami interpunkcji miały się pojawić. Używał też innych znaków interpunkcyjnych. Ale to można by ominiąć. Może nadawcy postawili przecinek po każdej literze? Większy problem miał z cyframi, które połączono z literami. Nie miał pojęcia, co to mogło znaczyć. Poza tym w szyfrze pojawiały się liczby większe niż trzydzieści. Może alfabet powtórzono od początku?

Nie miał jednak żadnego innego punktu wyjścia, więc spróbował rozszyfrować tekst na podstawie swojego kodu.

Do niczego go to nie doprowadziło. Z przypadkowego ciągu liczb dostał przypadkowy ciąg liter, niemający najmniejszego sensu. Aleks spędził na przepisywaniu tekstu dwadzieścia minut. Następne trzydzieści zajęło mu głośnie nad ich znaczeniem, a nie zbliżył się nawet o krok do złamania szyfru.

Nie, skłamał. Zrobił jeden krok. Pogodził się z faktem, że wiadomość została zakodowana w inny sposób niż ten, którego sam użył.

Odsunął kopertę zirytowany, po czym spojrzał na butelki specjała. Następnie zerknął na stojący na parapecie czajnik. „Dżentelmenowi nie wypada pić przed dwunastą” – powtarzał sobie zawsze, gdy nachodziła go ochota na łyk piwa z rana. Czyli dość często. Aleks nie miał bladego pojęcia, dlaczego to powiedzenie na niego działało. W końcu było mu dalej do dżentelmena niż jakimkolwiek innemu facetowi na tym kampusie.

Odstawił piwa do lodówki i odpalił czajnik. Chwycił stojący na biurku brudny kubek po kawie. Poszedł do łazienki i przepłukał go wodą. Do pokoju wrócił dokładnie w momencie, gdy czajnik charakterystycznie pstryknął, informując o zagotowaniu wody.

Aleks usiadł na łóżku z kubkiem parującej kawy. Raz jeszcze wziął w dłoń kopertę, ale szybko odrzucił ją na bok i sięgnął po niedoczytaną powieść Agathy Christie. Postanowił, że chwilę się odpręży, po czym wybierze się do biblioteki. Jeśli mógł gdzieś znaleźć odpowiedź, to właśnie tam.

[Z dziennika]

Większość kandydatów powinna już próbować uporać się ze swoim drugim zadaniem. Cóż, oprócz jednej osoby. Z tego, co wiem, wcześniej nie było takiej sytuacji. Muszę się dowiedzieć więcej na ten temat. Dlaczego akurat on? Bo klub raczej zawsze polega na tradycji. Łamie zasady, ale nigdy nie swoje.

Może to początek zmian? Niby nic, ale to od ziarrenka zawsze zaczyna się rewolucja.

MARTA

Marta wysunęła *Tajemną historię* spośród innych książek na regale i usiadła w znajdującym się niedaleko fotelu. Sprężyny skrzypnęły, a ją aż zaświerbiły dłonie. Ciężki zapach kurzu i papieru uderzył w jej nozdrza, gdy kartkowała powieść. Nie znalazła tego, czego szukała. Uśmiechnęła się. To znaczyło, że zrozumieli jej wiadomość. Nie spodziewała się, że zrobią to tak szybko. Znaleźli jej esej już dwa dni po tym, jak zostawiła im wskazówki. Może nie postarała się wystarczająco?

Nie, bzdury. To nie byli amatorzy. Powinna się tego spodziewać i być zadowolona. Gorzej byłoby, gdyby w ogóle go nie znaleźli. Wtedy to całe główkowanie poszłoby na marne.

Marta postanowiła włożyć do skrzynki klubowej nie swój esej, lecz kopertę ze wskazówką. Wskazówka ta miała zaprowadzić klubowiczów do ogrodu botanicznego na tyłach uczelni. Tam w odpowiednim miejscu zakopała małą próbkę z kolejną wskazówką, która z kolei kierowała do parku Jesionowego, a dokładniej do pomnika Krzesimira Talagi. Znalezione tam wytyczne mówiły o krótkiej wybieczce do biblioteki. Pani Brygida, jedna z bibliotekarek, z chęcią podjęła się współpracy, gdy usłyszała, że Marta ubiega się o miejsce w klubie. Sama kiedyś próbowała tam swoich sił. Obiecała, że dopilnuje, aby nie wypożyczono *Tajemnej historii*, gdzie między kartkami Marta schowała swój esej. Dodatkowo zadeklarowała, że gdy tylko w bibliotece pojawi się któryś z klubowiczów, powita go jednym z najsłynniejszych cytatów z powieści: „Piękno to strach. Cokolwiek nazywamy pięknym, boimy się tego”.

– Spokojnie, zgrabnie wplotę go w zdanie, tak żeby nie było zbyt jednoznacznie – powiedziała te kilka dni temu.

Kiedy Marta upewniła się, że esej zniknął, entuzjastycznym krokiem ruszyła w stronę pani Brygidy.

– Kiedy przyszli? – spytała, gdy była już na tyle blisko bibliotekarki, by ta mogła ją usłyszeć.

Pani Brygida sama ruszyła w jej stronę, gdy zauważyła uśmiech na ustach dziewczyny. Szła powoli, ale pewnie, a stukot jej obcasów na parkiecie niósł się po pomieszczeniu. Za jej plecami znajdowało się ogromne okno, po którego szybie płynęły krople deszczu. Marta widziała, jak półnagie gałęzie kołyszą się nonszalancko.

– Dzisiaj rano. Wie pani, co im powiedziałam? – zagadnęła z wysoko uniesioną głową.

Marta widziała, że kobieta chciała się pochwalić swoją przebiegłością.

– Co takiego?

– Pewien jasnowłosy dżentelmen mruknął coś do swojej towarzyszki, gdy weszli do środka. Osuszał płaszcz, dziewczyna próbowała również doprowadzić się do porządku. Zaczęli rozglądać się na boki. Akurat wklepywałam dane do systemu, więc stałam obok. Słyszałam, jak dziewczyna zapytała chłopaka, od czego zacząć. Odpowiedział jej, że najłatwiej będzie zacząć od wypytania bibliotekarki, to znaczy mnie, czy czegoś nie widziała. Poznałam ich. Wiedziałam, że należą do klubu. Ale udawałam, że nie słyszę, i przybrałam zaskoczony wyraz twarzy, gdy do mnie podeszli. Zapytali, czy nie widziałam jakiejś osoby kręcącej się podejrzenie podczas mojej zmiany. Nagle wiatr w oknach zahuczał. „Ale mamy dziś pogodę, ha?”, zagaił, na co jego towarzyszka westchnęła i odparła, że nie rozumie ludzi, którzy kochają deszcz. Kręcąc głową, wspomniała o swojej mamie, która uważała, że prawdziwe piękno świata widać właśnie w takie dni jak ten, ją natomiast szum wiatru i ulewny deszcz czasami wręcz przerażają. Chłopak wytknął jej, że przecież mieszka w deszczowym Ulmariowie, na co wtrąciłam, że wbrew pozorom poglądy jej i jej mamy nie muszą być ze sobą sprzeczne, bo „Piękno to strach. Cokolwiek nazywamy pięknym, boimy się tego”. Podzieliłam się z nimi anegdotką ze swojego życia o tym, jak weszłam na wysoki punkt widokowy i byłam jednocześnie przerażona i zafascynowana widokiem, który miałam przed oczami. Chwilę porozmawialiśmy, jeszcze raz zapytali, czy kogoś widziałam, na co odparłam, że nie. Zmarszczyli brwi, dopytali, czy jestem pewna, a gdy potwierdziłam, najwyraźniej uznali, że niczego się ode mnie nie dowiedzą, podziękowali i odeszli. Ot co.

– I długo zajęło im dojście do tego, że to była wskazówka? – zapytała Marta. Uśmiech mimowolnie pojawił się na jej twarzy i miała ochotę wyściskać bibliotekarkę, ale oczywiście tego nie zrobiła.

Jakie to było ekscytujące! Naczytała się w życiu tylu kryminałów. Musiała zbierać rozsypane jak puzzle wskazówki i ułożyć z nich kompletny obraz. Teraz sama rozsypała takie puzzle dla kogoś innego. Nie sądziła, że sprawi jej to aż tyle przyjemności.

– Właściwie nie. Chodzili po bibliotece bez celu przez jakieś piętnaście minut. Nagle dziewczyna zawołała chłopaka. Widać było, że na coś wpadła. Dyskutowali zaciekle przez kilka chwil, po czym wrócili do mnie. Zapytali, co im powiedziałam, gdy wcześniej rozmawialiśmy. Udałam, że nie pamiętam i muszę sobie przypomnieć. W końcu znowu wyrecytowałam te słowa. Spojrzeli po sobie, po czym ruszyli do działu z literaturą piękną. Wymaszerowali stamtąd parę minut później żwawym krokiem pełni zadowolenia.

– Pani Brygido, dziękuję! Udało się.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała i skłoniła się lekko. – Mam nadzieję, że uda ci się osiągnąć to, czego mnie się nie udało. Trzymam kciuki! – dodała na koniec.

Marta jeszcze raz podziękowała bibliotekarce i również wymaszerowała żwawym krokiem z uśmiechem na ustach. Uświadomiwszy sobie, że ktoś najprawdopodobniej czyta teraz jej esej, poczuła, jak żołądek zaciska się jej w supel. Wierzyła jednak, że zrobiła dobre pierwsze wrażenie. Teraz miało się okazać, czy wystarczająco dobre.

*

Marta odłożyła druty i włóczkę na bok, ponieważ zachciało jej się pić. Postawiła na gorącą herbatę. Deszcz od wczoraj lał prawie nieprzerwanie. Jedyne rano ustał na godzinę, ale nim dziewczyna zdążyła zwlec się z łóżka, znowu zaczął miarowo uderzać o dach i okna. Marta miała zapasy jedzenia, więc nie czuła potrzeby opuszczania akademika. Wczorajszy wieczór spędziła na czytaniu w półmroku swojego pokoju, dzisiejszy dzień przeznaczyła na wydzierganie czapki. Stwierdziła, że nie zabierze z domu starej, skoro mogła wydziergać całkowicie nową na miejscu. W końcu cały wrzesień miała w zasadzie wolny. Postawiła na granat z elementami bordo – barwy uniwersytetu.

Gdy woda gotowała się w czajniku, Marta oparta o ciemne biurko patrzyła przed siebie. Wsłuchiwała się w dźwięk kropli uderzających

o dach. Zajmowała pokój na poddaszu, więc słyszała deszcz szczególnie wyraźnie. Nie przeszkadzało jej to. Odgłos deszczu ją uspokajał. Może właśnie dlatego czuła się w Anglii tak dobrze.

Woda w czajniku zaczęła się gotować. Marta odepchnęła się od biurka. Usłyszała coś. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu źródła dziwnego dźwięku. Czajnik kliknął.

– Ciii! – rzuciła jakby do czajnika. Znieruchomiała i wytężyła słuch.

Z tego, co było jej wiadomo, nie miała jeszcze sąsiadów. Ktoś nieproszony musiał poruszać się gdzieś za ścianą.

Ostrożne kroki. Skrzypienie parkietu. Szuranie. Cień przemykający pod jej drzwiami.

Tym razem dźwięk był wyraźniejszy. Marta nie rozumiała, dlaczego się tak spięła. Siedziała za zamkniętymi drzwiami, sprawa na pewno jej nie dotyczyła. To mógł być jakiś konserwator, a może jednak nie tylko ona zdecydowała się przyjechać na kampus tak wcześnie. W końcu nie była jedyną studentką w akademiku. Nie wiedziała, kto i kiedy przyjedzie.

Wciąż z lekką obawą wpatrywała się w drzwi wyjściowe, ale nałapała do kubka wody, po czym włożyła do niej torebkę zielonej herbaty. Chwyciła go i zbliżyła się do okna. Gliniany kubek przyjemnie ogrzał jej dłonie. Rozluźniła się. Nie stresowały jej nocne spacery po parku, a spięła się na dźwięk kroków na korytarzu. Pokręciła głową, po czym skupiła wzrok na kroplach deszczu spływających po szybie. Lubiła obstawiać, która wygra wyścig. Teraz też ze skupieniem obserwowała dziesiątki kropli, gdy w zasięgu jej wzroku pojawił się wysoki jasnowłosy chłopak w długim płaszczu. Akurat otwierał parasol, co musiało oznaczać, że wyszedł właśnie z... akademika Marty.

Dziewczyna przyjrzała się chłopakowi na tyle, na ile pozwalał jej widok z trzeciego piętra i na ile mogła, kiedy był do niej odwrócony plecami. Wiatr szarpał jego parasol na boki, dwukrotnie wyrzucił go na lewą stronę. Blondyn w końcu przegrał walkę z naturą, złożył parasol i truchtem uciekł. Zniknął za stojącym naprzeciwko drugim budynkiem akademika. Marta mimowolnie przeniosła tam wzrok. Światło w trzech czy czterech oknach migotało delikatnie. Jedno z nich nagle zgasło. Marta również odeszła od okna. Podeszła do drzwi.

Początkowo wydawało jej się, że na korytarzu nie ma niczego podejrzanego, ale w powietrzu unosił się silny piżmowy zapach,

który upewnił ją, że ktoś przed chwilą się tam kręcił. Blondyn w płaszczu.

Wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Zrobiła krok w tył i zastanawiała się nad działaniem tajemniczego blondyna. Jeśli przyszedł do niej, dlaczego nie zapukał?

Marta złapała się za podbródek, jak zawsze, gdy rozmyślała. Adeline śmiała się z niej i oznajmiała, że przyjaciółka wygląda niczym bohaterka komiksu. Martę to nie wzruszało.

Rozejrzała się wokół. W holu nie dostrzegła nikogo. Wysokie ceglane ściany milczały, wszystkie drzwi były zamknięte. Jeśli ktoś chciał coś ukryć, możliwość była tylko jedna.

Marta przykucnęła i uniosła wycieraczkę. Bingo.

Podniosła z ziemi białą wizytówkę. Nie było na niej nic poza dziewięciocyfrowym numerem. Dziewczyna wróciła do pokoju i wystukała go na smartfonie. Wydawało się to logicznym posunięciem. Nic innego poza wybraniem numeru nie przychodziło jej do głowy. Wcisnęła zieloną słuchawkę.

Wybrzmiał jeden sygnał, następnie drugi i dopiero wtedy Marta uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, do kogo i po co dzwoni. Jej serce przyspieszyło. Odsunęła telefon od ucha, by się rozłączyć, gdy w słuchawce odezwał się kobiecy głos:

– Dzień dobry, Marto. – Głos był głęboki, aksamitny, a rozmówczyni spokojna.

– Kto mówi?

Kobieta zignorowała pytanie.

– Jesteś gotowa? – rzuciła.

– Gotowa? Na co?

– Tak czy nie?

Marta przysiadła na łóżku i przymknęła oczy. Początkowo serce podskoczyło jej do gardła, ale już z powrotem się uspokoiło i biło równym rytmem. Marta potrafiła zachować zimną krew, gdy inni tracili kontrolę nad sytuacją. Dlatego teraz spróbowała zignorować oczekującą na jej odpowiedź rozmówczynię i się skupić. Zastanawiała się, z kim ma do czynienia.

Oczywiście! Gdyby nie trzymała teraz telefonu przy uchu, klasnęłaby w dłonie.

– Dzwonisz w sprawie rekrutacji, prawda? – zapytała.

Połączenie wątków nie było skomplikowane. Dziewczyna dziwiła się, że od razu nie skojarzyła faktów. Pani Brygida wspominała o blondynie poszukującym jej eseju. Marta była pewna, że tego samego blondyna w płaszczu widziała chwilę temu uciekającego przed deszczem.

– Czyli rozumiem, że gotowa – powiedziała tylko i odczekała moment, by jej słowa wybrzmiały.

Chwilę później Marta usłyszała w słuchawce inny kobiecy głos. Nie do pomylenia z tym pierwszym. Był wysoki, bardzo delikatny. Kojarzył się Marcie z głosem małej dziewczynki.

– Zawsze przyjdę, ale nigdy nie przyjdę dzisiaj. Kim jestem?

– Masz minutę – odezwała się znowu pierwsza z kobiet. – Czas start.

Marta wzięła głęboki wdech. Na usta cisnęły jej się tylko dwa słowa.